

RYS BIOGRAFICZNY s. Marty od Jezusa (Kazimierzy Wołowskiej)

Błogosławiona s. Marta od Jezusa (Kazimiera Wołowska) urodziła się 12 października 1879 roku w Lublinie jako najmłodsze dziecko Józefa Wołowskiego i Mari z Buszczyńskich. W ziemiańsko-inteligenckiej rodzinie Wołowskich przywiązywano ogromne znaczenie zarówno do rozwoju intelektualnego jak i do głębokiej formacji religijnej dzieci. To tu mała Kazia uczyła się kształtować swój charakter, co zaowocowało w późniejszym życiu otwartością na potrzebujących i to niezależnie od tego kim byli, poczuciem obowiązkowości i odwagą w podejmowaniu trudnych wyzwań, choćby po ludzku wydawały się nie do zrealizowania.

Dzieciństwo miała radosne, a nawet beztrudne. Niestety to — można by rzec — sielskie dzieciństwo nie miało trwać długo. W wieku 13 lat była świadkiem długiej, ciężkiej choroby, a potem śmierci ukochanej matki.

Tak oto cierpienie po raz pierwszy pojawiło się w życiu Błogosławionej, aby towarzyszyć jej już stale. Można powiedzieć, że stało się jej nieodłącznym towarzyszem. Przy tej okazji poznała też, jak bardzo mogą ranić ludzkie słowa.

Śmierć matki rozpoczęła nowy okres w jej życiu. Od tej chwili szczególnie wpływ na kształtowanie osobowości młodej Kazimierzy miał ojciec i atmosfera domu o silnych tradycjach patriotycznych, który w tym czasie stał się ośrodkiem skupiającym lubelską inteligencję.

Kolejnym bolesnym doświadczeniem była ciężka choroba umysłowa, a później śmierć Wincentego jedyne go brata. Oba wydarzenia zarówno śmierć matki w 1893 roku, jak i śmierć brata w 1896 roku w sposób znaczący zmieniły życie rodziny Wołowskich, bo naznaczyły je cierpieniem. Wydarzenia te stały się szczególnie dotkliwym ciosem dla ojca, który podupadł na zdrowiu i zmarł na atak serca w roku 1899.

Po raz pierwszy Bóg zakłótał do serca młodej wówczas, bo zaledwie dziewiętnastoletniej Kazimierzy 1 listopada 1898 roku, gdy w kościele kapucynów w Lublinie zrozumiała, że to właśnie w zgromadzeniu niepokalanek Pan wybrał jej miejsce „na wewnętrzne przerobienie i śmierć sobie”.

W notatce autobiograficznej tak wspomina to szczególne doświadczenie: „W czasie tej Mszy świętej zaszło coś, czego do dziś dnia wytłumaczyć sobie nie mogę. Modliłam się, dobrze mi było [. . .] oddawałam się Panu Jezusowi na wszystko. Stało mi Zgromadzenie nasze jako wolą Bożą mi przeznaczone i jednocześnie główne zasady i cechy Zgromadzenia”.

Kazimiera do Zgromadzenia Sióstr Niepokalanego Poczęcia NMP wstąpiła 4 listopada 1900 roku. Nie był to koniec wewnętrznych walk i rozterek. W postulacie były one tak silne, że jeszcze po latach pisała o tym w sposób bardzo obrazowy: „Ciężki miałam postulat. Zgromadzenie wydawało mi się dziełem ludzkim nie Bożym.

Została i wkrótce przyjęła imię s. Marty od Jezusa, ale trud realizacji wymagań Bożych, które nieraz wydawały się przerastać jej siły i zmagania z własnym bardzo dynamicznym temperamentem, będą jej towarzyszyć do końca życia. Wszystko chciała zrobić, wszystkiemu zaradzić, każdemu pomóc, a ponieważ nie było to możliwe, bo — jak zapowiedział jej to Pan Jezus często nie znajdowała zrozumienia w otoczeniu, a czasem brakowało sił, zwłaszcza w późniejszych latach, gdy pojawiła się choroba serca.

14 czerwca 1919 roku wyruszyła do nowych zadań bez żadnych wskazówek, lecz z mottem przewodnim, jakim były słowa Matki Marceliny: „Trzeba tylko zacząć”. Sama tak wspomina te początki: „Trzeba było tylko zacząć, wszystko od fundamentów, w tym zdziczałym kraju, zacząć od zapalenia lampki w kościele kowelskim, bo ludzie zapomnieli widocznie o tym zwyczaju. Zacząć od podstaw elementarnych cywilizacji chrześcijańskiej”.

Nie ma w tym przesady, bo były to tereny wyniszczone krwawymi walkami i konfliktami narodowościowo-religijnymi. Na początku niepokalanek objęły opieką około 50 sierot wojennych, zebranych dosłownie z pól i lasów. Potem ta liczba znacznie się powiększyła. Nic dziwnego, że ludzie

patrzyli z podziwem na pracę sióstr. Siostra Marta zanotowała: „Ludzie dziwią się, jakim sposobem bez grosza własnego, z tak bardzo małą zapomogą zakład stanął: 170 dzieci wychowuje się stale”.

S. Marta sprawiła, że dom w Maciejowie stał się ostoją dla rzesz biedaków szukających tam wsparcia ekonomicznego oraz dla młodzieży zwracającej się o pomoc w sprawie wyboru drogi życiowej. Przychodzili nawet popi i rabini proszący o radę w sprawie edukacji i małżeństwa dzieci. Siostra Marta, choć zmęczona borykaniem się z różnymi problemami domu, zawsze znajdowała czas, gdy tylko ktoś potrzebował pomocy. W 1926 roku władze świeckie przyznały s. Marcie Złoty Krzyż Zasługi za wybitną pracę oświatową i opiekuńczą na Kresach. Można powiedzieć, że na każdym kroku spełniały się słowa Pana Jezusa, które usłyszała w okresie szczególnych łask: „Przez wszystko cię przeprowadzę i wszystko sam za ciebie zrobię”.

Już kilka miesięcy po rozpoczęciu pracy w Maciejowie siostry wraz z dziećmi musiały opuścić placówkę i udać się do Szymanowa, bo rozpoczęła się wojna polsko-bolszewicka i pozostawanie na Wołyniu było zbyt niebezpieczne.

Starania podejmowane przez s. Martę w Warszawie przyniosły oczekiwane rezultaty i późną jesienią siostry wraz z dziećmi wróciły do Maciejowa. 4 listopada 1920 roku nastąpiło powtórne poświęcenie sprofanowanej kaplicy, a 15 listopada rozpoczęły się lekcje.

W 1928 roku na sześć lat opuściła Maciejów, aby objąć przełożęństwo w kolejnych placówkach zgromadzenia: w Nowym Sączu, Wirowie i Jarosławiu, a w 1934 roku powróciła znów do Maciejowa. Z tego okresu zapewne najtrudniejszą placówką był Wirów (1929-1932). Sama stwierdziła w liście do Matki Zenony z 16 lipca 1933 roku: „W Wirowie bardzo, bardzo wyraźnie wiedziałam, że Pan Jezus żąda ode mnie ekspiacji i wiem, że się dokonała”. Na tej placówce musiała zmagać się z wieloma trudnościami, które dotyczyły zarówno relacji z władzami oświatowymi i kościelnymi, jak również — niestety — z siostrami nie zawsze rozumiejącymi w sposób właściwy swoją rolę zarówno we wspólnocie, jak i w ogóle w Zgromadzeniu i Kościele. S. Marta cierpiała bardzo, o czym mogą świadczyć słowa: „O Boże! Tylko dzięki temu, że co dzień wieczór, gdy wszyscy spali, leżałam krzyżem przed ołtarzem, przetrzymałam jako tako...”

Nic więc dziwnego, że intensywna praca ostatnich kilkunastu lat, a szczególnie ostatnie trzy lata w Wirowie, nadszarpnęły poważnie siły fizyczne. W 1932 roku udała się wprawdzie na kolejną placówkę i objęła przełożęństwo w Jarosławiu, ale trwało to krótko, bo ujawniła się poważna choroba serca. Na polecenie Matki Zenony zostały wykonane szczegółowe badania, które ujawniły, że Siostra od dawna cierpiała na poważną dławicę piersiową. W maju tegoż roku s. Cecylia od Ducha Świętego tak opisuje jej stan zdrowia: „S. Marta wygląda bardzo marnie... Chodzi z laską powoli. W sercu lepiej nie jest, bo to, co choroba zrobiła, nie odrobi się. Jedynie postęp zatrzymać można”.

W kwietniu 1934 roku objęła po raz drugi przełożęństwo w swoim ukochanym Maciejowie i oddała się gorliwej pracy tak jak poprzednio. Pozostała w tym domu do 1939 roku, kiedy powierzone jej zostało przełożęństwo w Słonimiu. Szczególną troską obejmowała w tym czasie pracę wychowawczą i katechetyczną i ze zdwojoną energią poświęcała się okolicznej ludności, która zawsze mogła znaleźć w klasztorze pomoc i wsparcie, tak materialne jak i moralne.

23 sierpnia 1939 roku s. Marta objęła ostatnie swoje przełożęństwo w Słonimiu i jednocześnie wkroczyła w ostatni etap swojego życia. Tak jak w Wirowie przeczuwała, że Pan Bóg wymaga od niej ekspiacji, tak równie silnie powracało w jej myślach bezpośrednio lub tylko jako niejasne przeczucie męczeństwa.

Kilka zaledwie dni po objęciu przez s. Martę przełożęństwa wybuchła II wojna światowa, a 17 września nastąpiło zajęcie miasta przez Armię Czerwoną, która z rozkazu Stalina bez wypowiedzenia wojny wkroczyła na tereny II Rzeczypospolitej. Siostry musiały opuścić klasztor i żyć w rozproszeniu.

Mimo trudnej sytuacji dostrzegała potrzeby innych nieszczęśliwych, głodujących i więzionych. W tych trudach i staraniach wiernie towarzyszyła jej cicha pomoc s. Ewy Noiszewskiej. Był to okres masowych wywózek na Sybir całych rodzin, częste aresztowania i inne szykany stosowane w sposób

przemyślany i wyjątkowo uciążliwy. Nic więc dziwnego, że s. Marta rzuciła się w wir niesienia pomocy, zaradzania każdej biedzie i dokonywania rzeczy niezwykłych. Jak wspomina s. Angela Łubieńska, s. Marta „organizowała kartki na chleb, zupy gorące, mleko dla dzieci, koce i odzież dla odjeżdżających w nieznane, niejednemu wynalazła bezpieczne ukrycie lub ułatwiła ucieczkę”. Trzeba sobie uświadomić, że w tym samym czasie, gdy s. Marta niosła tak wszechstronną pomoc potrzebującym, sama wraz z siostrami cierpiała dojmujący głód, chłód i wycieńczenie.

Wkroczenie Niemców do Słonima 28 czerwca 1941 roku po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej zarówno siostry, jak i ludność miasteczka odczuły jako zdecydowaną ulgę i poprawę warunków życia. Było to zapewne związane z tym, że Niemcy wkraczali jako wyzwoliciele i tak chcieli być postrzegani, a poza tym wojska Wehrmachtu nie odznaczały się na ogół takim okrucieństwem jak inne formacje faszystowskie. Siostry mogły znowu mieszkać razem i wróciły do pracy w szpitalu, w którym Niemcy zorganizowali chwilowo szpital wojskowy.

Te pierwsze złudne wrażenia, że nowy okupant będzie miał ludzkie oblicze, szybko rozwiąły się jak sen. W miarę upływu czasu zaczął bowiem narastać terror, a okrucieństwo władz okupacyjnych niemieckich w niczym nie ustępowało okrucieństwu sowieckiemu.

Siostra Marta podjęła swoją działalność zmierzającą do niesienia pomocy wszystkim potrzebującym, nie zwracając uwagi na niebezpieczeństwo, przed którym wielokrotnie ostrzegali ją przyjaciele klasztoru. Dla niej liczył się tylko człowiek potrzebujący pomocy, zaś ona i jej bezpieczeństwo było nieważne. Na ile to było możliwe s. Marta objęła regularną pomocą zarówno żołnierzy partyzantki akowskiej, jak i ludność żydowską, gdyż pod koniec 1941 roku rozpoczęła się eksterminacja tego narodu. Działalność s. Marty tak wspomina s. Angela Łubieńska: „Czuwając po nocach, gdy usłyszała prawie niedostrzegalny ruch koło domu, szła cichuteńko otwierać drzwi domu, bo wiedziała, że to AK — «ludzie z lasu» — przyszli po chleb, który im przygotowała. Obok niej siostra Ewa Noiszewska, nasz lekarz, podawała lekarstwa, maści, środki opatrunkowe. To wszystko było narażaniem się, a siostram wydawało się prostym obowiązkiem. Pomagał Bóg i pomagali dobrzy ludzie.

Dnia 29 czerwca 1942 roku Niemcy rozpoczęły likwidację getta słonimskiego. Mieszkało w nim około 20 tys. osób. Siostry nie mogły wobec tego bestialstwa pozostać obojętne. Przyjęły pod swój dach grupę Żydów, którym udało się uciec z tego prawdziwego piekła.

Siostra Marta doskonale zdawała sobie sprawę, że za wszystkie formy działalności, jaką prowadziły, ale szczególnie za pomoc i ukrywanie Żydów grozi jej śmierć. Wielokrotnie do klasztoru napływały w związku z tym ostrzeżenia, że działalność sióstr zauważyli także Niemcy i są śledzone przez gestapo. Nic więc dziwnego, że 8 września 1942 roku s. Marta została wezwana na przesłuchanie i wyraźnie usłyszała groźby pod adresem swoim i klasztoru. Nie mogło to jednak przstraszyć tej gotowej na wszystko zakonniczki, która przecież ze musi być gotowa na męczeństwo.

Gestapowcy przyszedli do klasztoru 18 grudnia 1942 roku około godziny 23. prawdopodobnie z zamiarem aresztowania s. Marty, ale dołączyła do niej dobrowolnie s. Ewa Noiszewska, która nie chciała puścić przełożonej samej. Okazało się, że i ona również była na liście poszukiwanych. Wszystkich aresztowanych tej nocy zgromadzono na dziedzińcu więziennym. Siostry od pierwszej chwili uspokajały przerażonych ludzi, podjęły wspólną modlitwę i zachęcały do godnego przyjęcia męczeńskiej śmierci. Około godziny 2 żandarmi niemieccy przeprowadzili kontrolę i domagali się oddania wszystkich cennych przedmiotów. S. Marta prosiła, aby pozwolono jej zatrzymać krzyż. Żandarm wyrwał go z jej ręki, rzucił na ziemię, a siostrę skopał. Podniosła krzyż z ziemi i ucałowała ze słowami: „Jezu, to dla Ciebie za naszą biedną Polskę”. Ten gest ucałowania sponiewieranego krzyża był jakby swoistym potwierdzeniem jej gotowości na wszystko, nawet na męczeńską śmierć.

Następnego dnia o 5 rano aresztowanych załadowano na samochody ciężarowe i zawieziono na Górę Pietralewicką położoną 2 km od Słonima. Tam polecono im rozebrać się do naga. Zofia Poczebyt, mieszkanka Słonima, tak opowiada o tym po latach: „Przed egzekucją wszystkim ofiarom kazano

rozebrać się. Ojciec Stark spełnił rozkaz, natomiast siostry się ociągały, krępując się. Wówczas ksiądz wziął krzyż do ręki i powiedział: Pana Jezusa zanim ukrzyżowano też obnażono - siostry posłusznie rozebrały się”.

Egzekucję przeprowadzano w sposób straszny, bo nagie ofiary same musiały wskakiwać do przygotowanego grobu i kłaść się ciasno obok siebie. Pluton egzekucyjny strzelał z broni maszynowej do leżących. Nikt nie dbał o to, czy strzały były celne. Kładła się na jednej warstwie następna i proceder się powtarzał. Jak mówią świadkowie, tak długo jak to było możliwe, s. Marta trzymała uniesiony w górę krzyż. Jeden z policjantów, Jan Poważynski, który był obecny przy samej egzekucji, powiedział, że proponowano siostrom ucieczkę, ale nie chciały z niej skorzystać. Uważały, że powinny zostać ze wszystkimi skazańcami.

Taki był kres ziemskiej wędrówki obu błogosławionych: s. Marty Wołowskiej i s. Ewy Noiszewskiej które w pełni oddały się Chrystusowi i drugiemu człowiekowi.

To wielkie zawierzenie doprowadziło ją do męczeństwa, które Jan Paweł II potwierdził, gdy 13 czerwca 1999 roku wśród 108 Męczenników II wojny światowej wyniósł Błogosławioną siostrę. Martę od Jezusa Kazimierę Wołowską wraz z s. Ewą Noiszewską do chwały ołtarzy.